

Marian Filar

„Patrz końca”

Palestra 49/7-8(559-560), 162-163

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Marian Filar

„PATRZ KOŃCA”

Już starożytni filozofowie doradzali, by we wszystkim co się robi zachować roztropność i patrzeć końca. Myśl tę oprawioną w ramki powinni sobie powiesić nad łóżkiem zwłaszcza reformatorzy prawa.

Hitem sezonu drogowo-policyjnego stają się przyczajone przy drogach automatyczne fotoradary łapiące w swe elektroniczne szpony kierowców ze zbyt „ciężką nogą”. Pomysł wydaje się skądinąd dobry. Zamiast policyjnego patrolu z radiowozem, dwoma funkcjonariuszami, ręcznym radarem i późniejszymi targami ze złapanym nieszczęśnikiem (a także korupcyjnymi pokusami w tle) proste urządzenie, które wystarcza od czasu do czasu załadować nową taśmą, zabierając starą, następnie zaś fotki – dowody drogowej zbrodni przesłać złapanym przez nieczułe na nic (a zwłaszcza na korupcję) bezduszne szklane oko nieszczęśnikom z wezwaniem do zapłaty mandatu. Prosto, łatwo, szybko „bezstykowo”. Akurat! Jak się okazuje, w krainie ułańskiej fantazji Policja zaczyna nie nadążać z obsługą tych „taśm prawdy”. A to grozi „zawaleniem” przewidzianego w tej kwestii przez prawo terminu na ich dostarczenie. Co robić? Puścić płazem ewidentne wykroczenie? Rozumiem, że dusza prawdziwego policjanta buntuje się przed taką możliwością. Ale od czego głowa i coraz lepsze prawnicze kwalifikacje. Zamiast spieszyć się z zachowaniem „mandatowego” terminu, spokojniutko zapakujemy wszystko w kopertę i pošlemy do właściwego (*lex delicti commisi!*) sądu grodzkiego. Tu termin przedawnienia jest o wiele dłuższy, a przecież to policjant decyduje, czy za dane wykroczenie ukarać sprawcę mandatem, czy skierować sprawę do sądu. A więc od prawnej strony wszystko OK. Od strony prawnej może i tak, ale co oznacza taka praktyka? Zamiast zaangażowania dwu policjantów z patrolu zaangażowanie co najmniej tylu w techniczno-prawnej obróbce dowodu zbrodni, następnie kilka sekretarek, listonoszy no

i potem prezesa sądu, sędziego orzekającego, protokolantki itp. Nie wspomnę już o zdybanym nieszczęśniku, którego czeka spacer do sądu (a niekiedy długa podróż) itp. Miało być taniej, szybciej, sprawniej, a zrobiło się, całkowicie wbrew intencji ustawodawcy, drożej, dłużej, bardziej skomplikowanie. Patrz końca! Wywieszenie na drągu przy drodze elektronicznego gadżetu to początek problemu, a nie jego koniec!

Opinia publiczna zaniepokojona jest coraz bardziej aferami pedofilskimi, o których ochoczo donosi prasa. Trudno przecież o lepszy „kąsek” dla czytelnika, a mamy wolny rynek, na którym wygrywa ten, kto więcej sprzedaje. Zaniepokojeni ludzie – każdy przecież ma jakieś dzieci i troszczy się o nie – domagają się, by coś z tym zrobić. Wedle funkcjonującego u nas schematu oznacza to nawoływanie do zaostrenia prawa. Skoro lud się domaga, od czegoś politycy, tym bardziej czujący na karku gorący (lub lepiej zimny) oddech nadchodzących wyborów. Znany bojownik o prawa ludu zgłosił tu publicznie prostą receptę „ucinać bez znieczulenia”. Formacje bardziej cywilizowane nie idą tak daleko. Znowelizujmy kodeks karny tak, by sprawców przestępstw seksualnych można poddawać przymusowemu leczeniu w trakcie wykonywania kary, gdy zaś się nie wyleczą, po jej odbyciu zamykać w zamkniętych zakładach, gdzie dalej będą leczeni tak długo, aż się wyleczą! O innych „drobiazgach”, takich jak np. orzekanie wobec nich na zawsze zakazu wykonywania określonych zawodów, obowiązkowym poddaniu się testowi na nosicielstwo HIV itp. nie wspomnę, bo nie czas żałować róż... Na potrzeby Biura Studiów Sejmu recenzowałem ostatnio taki projekt. Pomijam tu już wszystkie zastrzeżenia w płaszczyźnie pryncypiów, w tym zwłaszcza dawno odrzuconą przez prawo karne neolombrozjańską koncepcję odpowiedzialności pre- i post-deliktualnej. Staram się spojrzeć na aspekty praktyczne takiej propozycji.

Poddawać specjalnemu reżimowi zapobiegawczemu sprawców przestępstw seksualnych... Wszystkich? Toć to nonsens! Może tylko skazanych z art. 200? Też nonsens! Każdy praktyk dobrze wie, iż prawdziwych pedofilów jest wśród nich niewielki odsetek. Kto miałby decydować więc, kto jest pedofilem prawdziwym, a kto nieprawdziwym? Sędzia? Psychiatra, jak chcą twórcy projektu? W naszym systemie szkolenia psychiatrów jest tak, iż o seksuologii ma on tylko minimalnie lepsze wyobrażenie niż sędzia. Leczyć pedofili w więzieniach? Pomysł skądinąd godny rozważenia, ale aktualnie całkowicie utopijny. Kto miałby leczyć, gdzie, za jakie pieniądze? A pamiętać trzeba, iż wyleczenie z pedofilii, o ile w ogóle możliwe, jest trudne, czasochłonne i kosztowne i nie da się go przeprowadzić za pomocą lewatywy i zimnego sitzbału w więziennym lazarecie. Leczyć w ośrodkach po odbyciu kary? W jakich, gdzie? Nie ma w Polsce takiego ośrodka i daleko do jego powstania! A więc, po pierwsze, nie mamy armat, po drugie, nie wiemy do kogo w ogóle strzelać, po trzecie nie wiemy, jak strzelać. Znakomite przesłanki dla uchwalenia ustawy! Dobre chęci w tej kwestii są potrzebne, ale nie wystarczą. Pamiętamy zresztą, czym wybrukowane jest piekło! I pamiętajmy starożytnych filozofów – działajmy roztropnie i patrzmy końca!